

Natalia

Mam na imię Natalia...

Mam na imię Natalia i mam czternaście lat. Odkąd pamiętam mama zawsze lubiła mi opowiadać różne historie. Lubiłam słuchać jej opowiadań, to był dla mnie zawsze cudowny czas. Pewnego dnia mamę znowu wzięło na sentymenty i powiedziała mi, że gdyby nie odwaga jej prababci Anny, to by nas tu dzisiaj nie było. Bardzo mnie to zaintrygowało i zaciekawiło, dlatego postanowiłam o całej tajemniczej sprawie porozmawiać z ostatnią żyjącą córką mojej praprababci - Stefanią Galewską. Byłam zdziwiona, że moja prababcia Stefa nigdy, ale to nigdy nie wspomniała nawet słowem o tym, że ona, jej dwie siostry i matka cudem uniknęły śmierci podczas rzezi wołyńskiej. Jestem jeszcze dzieckiem i nie do końca rozumiem tragiczne losy moich przodków, jednak uważam, że warto je zapisać. W następnym akapicie głos oddaję mojej prababci....

Nazywam się Stefania Galewska, z domu Guśniowska, córka Anny i Prokopa Guśniowskich. Urodziłam się 17 grudnia 1936 roku we wsi Bołdury. Jestem ich najstarszą córką. Oprócz mnie w naszym domu przyszły na świat moje dwie młodsze siostry: Karolina ur. 1937 roku oraz Maria ur. 1941 roku. W naszej wiosce większość mieszkańców, podobnie jak my, to byli Polacy. Byli też i Ukraińcy. Wiem od mojej mamy, że na Kresach Wschodnich była ludność mieszana. Sama ludność, czyli Polacy, Rusini i reszta narodowości, do drugiej wojny światowej żyli w zgodzie. Razem się żenili, jedni drugim pomagali, trzymali dzieci do chrztu. Nie było widać żadnej różnicy ani nienawiści w życiu codziennym w miastach i wsiach. Ale przed 1939 rokiem, kiedy już się zrodził ten nacjonalizm ukraiński we Lwowie, zaczął przenosić się do innych miast, miasteczek i na wieś - zaczęli siebie nazywać Ukraińcami i uprawiać politykę. Ale przed 1939 rokiem nazywano ich „politykanci”. Więc ci politykanci ukraińscy, jak przybrali na sile w organizowaniu się we Lwowie i innych miastach, od razu zaczęli swoją politykę przenosić i na wieś. Niestety na każdej wiosce znaleźli się tacy zapalczywi politykanci, na każdej wiosce było ich po dwóch, czterech, a nawet więcej. Zaczęli się organizować i spotykać po świetlicach. Były to ukrywane zebrania polityczne przeciwko Polakom i Polsce. Zaczęli bałamucić tym Rusinom w głowie, że oni są Ukraińcy, że musi być Samostija Ukraina. W ten sposób zaczęli siać nienawiść do Polski i Polaków. W naszej wsi Bołdury było takich dwóch głównych ukraińskich politykantów. Pierwszy Iškiw Fidiko, a drugi Sawkiw Prokip. Nikt na to nie zwracał uwagi, właściwie to nawet było to lekceważone przez rząd Polski. W roku 1939 wybucha druga wojna światowa, Niemcy hitlerowskie atakują Polskę z zachodu, a Sowieci ze wschodu. Po wkroczeniu czerwonej Armii każdy Ukrainiec, mężczyzna w pełni sił, nałożył na rękę czerwoną opaskę, otrzymali polskie karabiny i już byli Milicją na usługi Sowieci. Zaczęli mówić „Nech bude hirszyj, ały hynszyj, aby ne Polska”. Początek wojny - Polska w rozsypce i bitwy przegrywa. Żołnierze wracający do domu byli okradani z broni przez ukraińskich politykantów. Zabierali oni broń, mundury i to wszystko chowali, ale też zabijali polskich żołnierzy, a ich ciała zaciągali na pola w kartofle, żeby nie było widać tych

ciał. Po ogłoszeniu, że już jest sowiecka władza, Polski już nie ma, politykanci ukraińscy od razu zaczęli przygotowywać listy Polaków dla Sowietów, kto co robił i kim był. W spisach podano Sowietom nazwiska wszystkich polskich osadników, sołtysów, leśników, nauczycieli i całą polską inteligencję. Sowieccy impregenci co rusz przyjeżdżali na wieś i robili „mityngi” i wszystkie spisy mieli gotowe, kogo mają zamknąć lub wywieźć na Sybir. Dnia 1 maja 1940 roku w naszej wsi, w Bołdurach, zorganizowano wielki wiec polityczny. Byli tam przedstawiciele sowieccy, którzy zabierali głos, a nasz miejscowy zaawansowany politykant - Iśkiw Fidiko, wygłosił wielkie przemówienie. Bardzo podkreślał w nim, że Polska zrobiła im wielkie krzywdy i zmyślał Bóg wie co, i że Polacy w 1939 roku brali, i wieszali po dziecięciu ludzi drutem kolczastym, i wrzucali do rzeki Bug. Słyszając to oszczerstwo, po cichu zapłakaliśmy. Jak tak można było kłamać i oczerniać Polaków? Władza sowiecka według tych spisanych list a zaczęła aresztować i wywozić na Sybir polską inteligencję. A masową wywózkę Polaków na Sybir rozpoczęto w lutym 1940 roku. Następnie wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Na te tereny wkroczyły Niemcy. Ukraińcy znowu mieli pole do popisu, niszcząc Żydów i Polaków. Najpierw zorganizowali na Wołyniu mordercze bandy banderowców, bulbowców i zaczęto masowo mordować Polaków w bestialski sposób. Wszystkie zagrody okradano, palono, ludność zabijano, a nawet żywcem wrzucano do ognia, do studni, dzieci nadziewano na kołki, podryzano gardła, odcinano języki, kobietom obcinali piersi. W ten bestialski sposób wyniszczano polską ludność. Ci, którym udało się uciec i uciekali do centralnej Polski, zatrzymywali się i opowiadali o tym wszystkim, ostrzegając, że i u nas będzie to samo. Kazali i nam szybko uciekać. Jednak to nie było takie łatwe zostawić cały dobytek i iść w nieznane. No i się zaczęło... Nadchodzi 1 stycznia 1944 roku, sobota. Niedziela, 2 stycznia, silnie zorganizowana banda banderowców napada na naszą wieś Bołdury. Banderowcy okrążyli na zewnątrz całą wieś tak, żeby nikt nie mógł uciec. Wszystkie zagrody polskie zostały dodatkowo obstawione banderowcami uzbrojonymi po zęby. Wieś Bołdury liczyła około 180 numerów, a mieszkańców było około 1000 osób, w większości Polacy. Wieś ta składała się z przysiółków: centrum wsi nazywało się froj, dalej wpust, Pod Górą, Zrąb, Kątek oraz Zapotok. Siedzieliśmy z mamą i siostrami w domu. Taty nie było z nami. Nagle do naszej chaty wpadł Ukraińiec - Pyłyp i kazał natychmiast mojej mamie zabierać nas i uciekać z domu, bo już idą nas zabić. Możecie sobie wyobrazić, mroźna, styczniowa noc i moja matka z nami. Moja najmłodsza siostra miała trzy latka. Nie było już czasu na nic. Moja mama ubrała nas szybko, całą trójkę, i schroniliśmy się w domu u naszego sąsiada, też Ukraińca - Maksima. Był on biednym, starym kawalerem. Ryzykując własne życie, przyjął nas do swojej małej chatki. Później ukrywaliśmy się w lesie, w ziemiance. W tym samym lesie ukrywali się też banderowcy. Moja mama, jak się trochę uspokoiło, wróciła do naszego domu, żeby zabrać coś na drogę do jedzenia i picia. Nie było już tam dla nas życia i aby się

ratować musieliśmy uciekać. Widok, który moja mama zastała na podwórzu, był straszny. Maksim, Ukrainiec, który ostrzegł moją mamę w ostatniej chwili, został zamordowany przez swoich. Jego ciało nie zostało do końca spalone. Zamordowany też został tam brat rodzony mojej mamy. Pyłyp obiecał, że z korytka zbije skrzynkę i pochowa szczątki mojego wujka na terenie kościoła. Potrzebował tylko święconej wody i białego prześcieradła. Nasz dom został obrabowany i nie było co z niego brać na drogę. Na szczęście moja mama zdążyła podczas ucieczki zabrać nasze dokumenty. Krowę, którą mieliśmy, zostawiliśmy dalszej rodzinie. Całą ucieczkę pamiętam jak przez mgłę. Mama, moja ciocia Jewka i jej córka Helena, i my trzy siostry Guśniowskie. Same kobiety, bez mojego taty, ruszyliśmy w nieznane. Podróż do Polski była bardzo ciężka i wielu Polaków jej nie przeżyło. Wpakowano nas w drewniane, bydłące wagony. Podróż była długa. Na szczęście moja mama zabrała butelki z wodą i trochę chleba. Poupychała to wszystko i mnie, i moim siostrom. Ja na szyi miałam torebkę uszytą przez moją mamę, a w niej nasze dokumenty. W tych wagonach nie było nawet gdzie się załatwić. Gdzie ktoś stał, tak się załatwiał. Widziałam jak ludzie i małe dzieci też umierali z głodu i pragnienia w tym wagonie. Wszystko to po latach jest dla mnie jak zły sen. Bogu dziękuję za tego człowieka, który nas uratował, a sam niestety przypłacił życiem. W Polsce musieliśmy zacząć od zera. Nie mieliśmy nic. Na początku byliśmy w Rakówce przez kilka lat, potem los rzucił nas tutaj, na Golinę. Cztery kobiety bez taty, ale dobrzy ludzie pomogli. Ktoś dał cielaka, ktoś dał ziemniaków, i musiałyśmy jakoś zacząć sobie radzić. Czas wymazał wiele wątków z mojej pamięci, ale nie wymazał obrazów okrucieństwa. I nie wiem, doprawdy nie wiem, dlaczego oni nam to zrobili? W mojej wsi zginęło tamtej nocy 50 osób. Nikt nigdy za te zbrodnie nie odpowiedział, ani nie poniósł kary. Nie dość, że nas mordowali w bestialski sposób, to jeszcze okradli z całego dobytku. Moja mama jeszcze przed ucieczką zabiła świnie, a mięso wsadziła do beczki i obłożyła pokrzywami, żeby się nie zepsuło - to też nam ukradli. Tyle co spaśniałam, to opowiedziałam. Znam smak biedy, głodu i strachu, ale wiem też, że zawsze ktoś nad nami czuwał i przetrwałyśmy całą tę naszą wędrówkę. Nasz tato nigdy do nas nie dołączył. Tam, jak dowiedziałyśmy się, założył drugą rodzinę, a dla nas życie tu toczyło się w doli i niedoli.



Anna Guśniowska



Kościół w Bołdurach.



Anna Guśniowska z
najmłodszą córką Marią.



Po środku Anna Guśniowska z
trzema córkami na Golinie.

To już koniec tej historii mojej prababci Stefci. Tylko my wiemy, jak trwały uraz w psychice zostawiła ta ucieczka. Z iloma lękami w życiu codziennym musiała się mierzyć moja kochana Stefania. Nigdy się nie żaliła na to, co ją spotkało. Jedyne, to zawsze była wdzięczna za to, że ocalała. Wiem jedno, że ja jestem tu dzisiaj, bo moja praprababcia Anna Guśniowska wykazała się wielką odwagą i siłą, by uciec w

nieznane, by ratować życie, a nie dorobek, by zacząć wszystko w obcym miejscu od nowa.